Lwów, 26. Kwietnia. Nr 49. Rok 1855.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek. Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr miesieczna 40 kr. m. k. w kraju z przesyłka pocztowa rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr.

Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

WIENIEC CIERNIOWY.

Rozdział V.

ODKRYCIE.

(Ciąg dalszy.)

Gdy odeszli od kwiatków, Antosia przypomniała sobie rysunek darowany jej przez Witołda.

— Mówiłeś mi Witołdku że lepiej jeszcze mamę odrysujesz, czy robiłeś co przez ten czas...

— Malowałem! odrzekł, ale głosem nadzwyczaj smutnym.

— Pokaż!. ale dla czego tak posmutniałeś Witołdku?..

— Bo ja nigdy nie będę wielkim malarzem.

— Ty będziesz najpierwszym w świecie malarzem. Dla czegoż nie miałbyś być nim?..

— Bo i tu.. i tu.. mówił wskazując na serce i głowę; jest coś co mi przeszkadza.

— Cóż to takiego?..

— Niewiem!.. to jakby mgła jaka, przez którą widzę wszystko, ale jakby przez mgłę.

— Mgła?..

— Ciężka mgła... jakby ból jaki, jakby smutek, jakby przeczucie?..

Na te słowa rozpłakała się Antosia rzewnie.

— Fe Witołdku! będę się gniewała na ciebie.. Ty masz już teraz i siostrę i matkę!..

Nie byłoż to anielskie natchnienie, które jej te słowa tak stosowne włożyło do ust dziecinnych.

I zaprowadził ją do klasztoru; a tam na samym końcu była wielka cela, która i ojcu Dominikowi i jemu służyła za malarską pracownię. Wszystkie ściany zapełnione były obrazami rozmaitej wielkości. Były to sceny z żywota świętych, malowane przez ojca Dominika. Znać było talent wielki, ale przyćmiony jakąś manierą ciemną, niewyraźną, mglistą.

Ojciec Dominik jak przemarzył całe życie, tak i marzenia swe rzucał na płótno, marzeniem każdą omglił scenę. Pomiędzy obrazami wiszącemi na ścianie, były także obrazki Witołda. Były to po większej części główki dziecinne, z wielkim talentem wykonane, cudnie piękne, z anielskim wyrazem na okrągłych twarzyczkach, na uśmiechających się ustach. Ale w oczach wszystkich przebijała się jakaś myśl stara, doświadczona, smutek mimowolny budząca. Patrząc na te twarzyczki żal sciskał serce, które zdawało się mówić:

— Szkoda tych ślicznych twarzyczek, gdy na nie bliska już chmura smutku padnie.

Były i krajobrazy jego pędzla. Przyroda była w nich oddana wiernie, chociaż uidealizowana poetycznem malarza uczuciem. Ale w każdym z nich, był jakiś cień szczególnie posępny, spadający niby od jakiej, ciemnej chmury, co nagle zakryła jasne słońca promienie.

Na samym środku stał obraz nieskończony jeszcze. Do niego zbliżyły się dzieci naprzód. Tło obrazu tego było cudnie piękne, oświecone światłem jakiemś, nito łuną pożarn, nito migotnem błyskawicy światłem. Jakby w dzień męki zbawiciela, lub w dzień sądu ostatecznego, niebo było zasłonięte kirem zaćmienia, a z ziemi wznosiły się łuny palących się miast i wsi. Z tła tego obrazu występowała cudnie piękna twarz z wyrazem na twarzy godnym Rafałowskich madon. Ale jak na niebie kir zaćmienia, tak na twarzy wyraz bolów i cierpienia gdyby krepa żałobna. Bez mieczów w rozkrwawione serce utkwionych każdy poznałby od razu że to matka boska, ale matka bolesna. Tuż koło niej była twarzyczka aniołka, w którego oczach zda się drżyć łza żalu na widok ciężkiego matki bolesnej smutku. Mimo tych wyrazów, obie twarze były nadzwyczaj podobne do pani Wolińskiej i do Antosi.

— Alež dla czego my takie smutne?

— Bom nie mógł was inaczej oddać... ja was tak widziałem...

— Myż przecie nie były smutne gdyś nas widział po raz pierwszy...

— Widzisz Antosiu! że ja nie mogę być nigdy malarzem dobrym. Nie umiem się dobrze wytłumaczyć, ale ja nie widzę nigdy tak jasno to co jest, jak to co będzie.

— Więc przeczuwasz smutek dla nas! ozwała się dziewczynka w pół serjo, w pół żartem.

— Niech was od niego matka boska broni, zawołał z zapałem, jabym chciał wszystkie wasze smutki i cierpienia przyjąć na siebie, jabym chciał byście zawsze mojemi tylko płakały łzami.

Zpoważniały obie twarze dziecinne, lecz dzięki szczęśliwemu ich wiekowi nie długo to trwało. Oglądnąwszy

wszystkie obrazy tłumaczone jej przez Witolda, wybiegła Antosia do ogrodu, a z nią Witołdek z wyrazem swobody i wesołości prawie na twarzy.

Przez ten czas scena innego rodzaju odbywała się w celi ojca Dominika.

Niewymownem jakiemś uczuciem wiedziona pani Wolińska przyszła spowiadać się jak to już mówiliśmy przed ojcem Dominikiem.

Skoro się o tem dowiedział ojciec Dominik, chciał ją zaprowadzić do ojca Łukasza, który był sławnym na całą okolicę spowiednikiem.

— Ja przed tobą mój ojcze chcę się spowiadać! odrzekła pani Wolińska stanowczo.

Nie było co na to odpowiedzieć, chociaż sumienie mówiło mu wyraźnie do ucha, że jest niegodnym na spowiednika człowiek, który przed świętą nawet spowiedzią zamyka tajemnicę w sercu swojem.

Zaczęła się spowiedź długa, obszerna, szczera. Pani Wolińska odsłoniła przed ojcem Dominikiem najskrytsze serca swego tajniki, i opowiedziała mu dzień prawie po dniu, całą przeszłość swoją. Im dłużej mówiła, tem więcej wzrastało jej wzruszenie. Lecz co dziwniejsza, że i spowiednika wzruszenie w równej wzmagało się mierze.

Opowiedziała mu jak była matką, jak kochała synka swego, i jak przed laty jedynastą po raz go ostatni widziała, gdy w nocy porzucała domek jaki mieli za Warszawą.

— Byłam matką!.. mówiła łkając i bijąc się w piersi, i dla wyratowania nędznych pieniędzy, i klejnotów, aby w naszej jeździe, pomiędzy wałęsające się żołdactwo, krzyk dziecka mnie nie zdradził, porzuciłam moje biedne dziecko... i mój syn spalił się... Dziecko porzucić! to największy grzech matki!.. tego grzechu żadna nie zmaże pokuta.. Nieprawdaż ojcze!..

Ojciec Dominik ręką twarz zasłonił, by myśli i czucia jakie się tłukły mu po głowie i sercu, nie wystąpiły na nią widocznie.

— Módl się! szepnął z cicha..

— Boże wielki! zawołała biedna kobieta; ty wiesz najlepiej ile się namodliłam. Ja grzesznica śmiałam myśleć, że wymodlę u Ciebie cud!..

— Cud? przemówił ojciec Dominik, i zadrżał mimowolnie na to słowo, które w ustach biednej matki wydało mu się zwróconem ku niemu błaganiem i przekleństwem razem.

— Tak, cudu spodziewałam się mój ojcze, bo matka nie może w to uwierzyć, że dziecko swe straciła na zawsze.

Trudno oddać co się działo w czasie tego w duszy ojca Dominika. Nie mógł wątpić już o tem, że matka Witołda stała przed nim, lecz czy jej odkryć, czy nie?.. i jak odkryć?.. Biedny zakonnik nie umiał dać sobie rady. Odkryć! nakazuje prosty obowiązek, bo czyliż godzi się ukrywać dziecko przed matką.. Ale gdy odkryje, Witołd stracony dla niego, a Witołd to całe jego życie, całe szczęście!.. A jeżeli odkryje, czyliż może powiedzieć żonie, że jej mąż własny chciał zabić to dziecko, cudem opatrzności wyratowane. Nie byłożby to rzucać zarzewie najokropniejszej niezgody i nienawiści między małżeństwo, nienawiści mogącej pociągnąć za sobą zemstę i zbrodnię. I czyliż można powierzyć Witolda, to lube, tak serdecznie ukochane dziecko tym samym rękom, które już go raz zabić usiłowały. Ciężka była to chwila dla biednego ojca Dominika. Wahanie się jego wzmagało się coraz więcej; pot kroplisty wystąpił mu na czoło.

— Nadzieja niewygasa nigdy w sercu matki! mówiła dalej biedna kobieta, z łzami w oczach i głosie. Najmniejsza okoliczność dodaje otuchy, rozbudza wszystkie pamiątki, rozkrwawia ranę... Przed kilką dniami, gdym tu była na odpuście, szalona myśl przebiegła mi przez głowę, zadrgała w sercu.. Ojcze ja myślałam, że się stał dla mnie cud.

Nie mógł już dłużej wytrzymać ojciec Dominik. Zerwał się z miejsca swego.

— W boskim ręku jest cud!.. zawołał silnym, odmłodniałym głosem. Córko moja, módlmy się.

I padli oboje na kolana przed obrazem w celi zawieszonym, z którego spoglądała na nich pełna wzniosłej rezygnacyi twarz ukrzyżowanego Zbawiciela. Ślicznie wydawały się te dwie twarze starca zgrzybiałego prawie, i młodej jeszcze kobiety, tak różne wiekiem, schylone razem kornie, natchnione wyrazem szczerej i gorącej wiary.

— Powstań córko moja! ozwał się po długiej chwili ojciec Dominik, pokrzepiony modlitwą, i sam się podniósł. Bóg łaskawy umie się zlitować nad tobą, i pocieszyć strapione matki serce.

— Ojcze! mów!.. zlituj się nademną!.. zawołała matka z iskrzącemi oczyma.

— Bądź cierpliwa córko moja, jak był cierpliwym syn Boży, konający w mękach za nas... i posłuchaj mnie... posłuchaj rady mojej, która jest natchnieniem z szczerej modlitwy wyczerpniętem...

— Mój syn żyje?.. to jedno powiedz mi słowo ojcze!

— Żyje! moja córko!..

— I ja go będę widzieć; ja przycisnę go do serca mego?

— Będziesz go widzieć.. ale pod jednym warunkiem.

— Boże! dzięki tobie! krzyknęła matka z przerażającym wyrazem. Na klęczkach słuchać cię będę ojcze, i każde słowo twoje będzie dla mnie rozkazem, jakby to była wola Boga! dodała i uklękła na nowo, opierając się na krześle, z oczami wlepionemi w twarz starca wzruszoną.

Ojciec Dominik drżącym od wzuszenia głosem opowiedział jej jak go opatrzność przyprowadziła owej nocy do samotnego domu pod Warszawą.

— Pamiętam! pamiętam, jak by to dziś było.. głos twój ojcze poznaję.

I mówił jej dalej ojciec Dominik, jak w szopie nocował, gdy o rannym zmroku zbudzony blaskiem pożaru, usłyszawszy głos dziecka, wpadł do domu, i wyratował dziecko, płomieńmi otoczone.

— Tyś je ojcze wyratował! zawołała matka, i padła mu do nóg, a piersi cisnęła rękoma, by jej serce nie wyskoczyło.

Całą scenę której był świadkiem, jak mąż jej wyniósł dziecko, i sam podpalił szopę, zataił przed nią zupełnie.

— Ojcze! zlituj się nademną! rzekła znowu matka zrywając się; prowadź mnie do niego!.

— Zaraz moja córko! Przyrzekłaś być mi posłuszną.

— Jak niewolnica mój ojcze!. tyś mi dziecko wyratował.

Tu dopiero ojciec Dominik przedstawił jej, że i dla niej samej, i dla męża, i dla dziecka nawet lepiej by było, by ta rzecz cała została nadal tajemnicą.

— Możesz go kochać, jak matka, możesz go widywać, możesz się niem i jego przyszłością opiekować, lecz na cóż rozgłaszać tajemnicę, która wedle twej własnej spowiedzi, lepiej by tajemnicą została. Zostaw to czasowi, zostaw to opatrzności, która losem jego widocznie kierowała dotąd. Przyjdzie może ta chwila, w której będziesz mogła mieć go przy sobie. A i dla niego, lepiej by niewiedział o pochodzeniu swojem. Wiadomość ta mogła by go wstrząść, i wyrwać z kolei jaką idzie życie jego teraźniejsze.

— Ale on nie będzie mnie kochał, on nie będzie znał matki swojej!

— Będzie ciebie kochał, będzie widział w tobie matkę, bo on od pierwszego już razu uczuł do ciebie szczególny pociąg jakiś. I wierz mi, że więcej ciebie może kochać będzie, jeżeli mu przeszłość będzie tajemnicą; dodał głosem więcej surowym.

— Ojcze masz słuszność! odrzekła matka smutnym głosem, spuszczając głowę.

— Wynajdziemy sposób, byś go mogła częściej widywać.

— Chodźmy już do niego, do mego Witołda! on się nazywał Juziem, ale niech zostanie to imie Witołd któreś ty mój ojcze nadał mu. Chodźmy do niego.

— Idziemy! lecz uspokój się nieco, nie pokazuj wzruszenia swego... staraj się przezwyciężyć...

— Dobrze mój ojcze! odpowiedziała matka słodkim głosem, i jak dziecko pocałowała ojca Dominika w rękę.

Jeszcze chwilkę pomówili, i poszli szukać dzieci w ogrodzie. Zastali ich siedzących na ławeczce; Witołd schyloną miał głowę, a Antosia odgartując mu włosy, ze łzami w oczach patrzała na bliznę, którą miał na głowie, i o której właśnie rozpowiadał jej.

— Mamo! zawołała widząc zbliżającą się matkę. Mamo pocałuj go tu w czoło biedne, zranione, aby go nigdy nie bolało, tak jak mnie całujesz, gdy mnie co boli.

I opowiedziała jej, jak biedny Witołd dzieckiem jeszcze dostał tę bliznę od palącego się drzewa, co mu spadło na głowę, i jak on to nazywa wieńcem cierniowym.

— Mamo! jak mnie kochasz, pocałuj go.

Wezwanie to było dla biednej matki jakby głosem z nieba. Ona idąc do ogrodu niewiedziała co robić; chciała by biedz, a wstrzymywała kroki swoje; serce jej biło tak gwałtownie jakby naprzód wyskoczyć chciało. Biedna kobieta cisnęła piersi swe całą siłą.

— Biedne dziecko! wyrzekła głosem tak czułym, że Witołd mimowolnie zadrzał cały.

— Biedne dziecko! powtórzyła, i usta swoje przycisnęła do głowy znalezionego dziecka swego. W długim tym pocałunku złożyła ona cały zapał matczynego serca. Dziwne niezrozumiane uczucie zadrgało w sercu Witolda: on by ją chciał odcałować, serdecznie odcałować, a nieśmiał. I dwie łzy gorące, łzy matczyne padły na bliznę która była dla niej przypomnieniem okropnej przeszłości.

— Wieńcem cierniowym nazywa to! mówiła sama do siebie. I ust zdjąć nie mogła z drogiej syna głowy.

— Prawda mamo że ty go kochasz! bo ja go kocham.

— Kocham! odpowiedziała matka słabym głosem.

Mała Antosia niewiedząc sama o tem, była dla nich w tej chwili prawdziwym aniołem; to też kochali ją, kochali całą duszą.

— Kochaj mnie Witołdzie jak matkę której nie miałeś, i pocałuj mnie jak matkę.

Wszyscy się rozczulili, wszyscy mieli łzy w oczach, nawet stary ojciec Dominik był rozrzewniony jak nigdy w życiu. Antosia miała także łzy w oczach, ale mimo to skakała ciągle od jednego do drugiego i całowała wszystkich.

— Będziesz nas często odwidzać mój Witoldku! mówiła matka, gdy pierwsza rozrzewnienia chwila minęła. Była to dla wszystkich chwila szczęśliwa...

— Antosię kochaj także!.. mówiła matka dalej, patrząc z wyrazem czułości na oboje.

— On będzie mnie uczył rysować! zawołała dziewczyna.

Aż ją pocałowała matka za tę myśl szczęśliwą. Jakoż ułożyli się, że od czasu do czasu będzie przysyłać pani Wolińska po Witołda, który będzie uczył Antosię rysować.

— I nauczysz mnie, jak kwiatki roymawiają, dodała Antosia przy pożegnaniu.

Rozjechali się w krótce; ale z sercami przepełnionemi rzewnem i miłem razem, a szczęśliwem uczuciem. Oby żadna burza nie nagnała złowrogiej chmury na to spokojne niebo, które ich otacza! (C. d. n.)

POŻEGNANIE.

POŻEGNANIE.

«Bądź zdrowa » matki
Wychodząc z cackiem na wonną murawę;
«Bądź zdrowa“ mówiłem do rodzinnej chatki,
I w świat poszedłem po pracę i sławę.

„Bądź zdrowa” rzekłem ojczyznie; a świadki
Żem krwawo żegnał, były te łzy krwawe.....
W kraj obcy niosłem mych marzeń ostatki,
Strojąc w nie dusze i serca plugawe.

Z cackiem stłuczonem wróciłem i z płaczem,
Z duszą zbolałą, bez zaszczytów świata
Wróciłem; w końcu wróciłem tułaczem.. ..

Dziś gdy cię żegnam, pytasz czy się smucę,
O nie, wszak w smutku osuszysz łzy brata,
Gdy wróci z płaczem?... bądź zdrowa!... nie wrócę!

J. C. Z.

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY I WYCIECZEK PO KAUKAZIE.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz zaledwiem otarł ze snu oczy, uradowałem się widokiem mej gospodyni, krzątającej się po izbie i szukającej śniadania dla dzieweczek, które późno w nocy powróciły z roboty, a teraz znowu miały wyruszyć w pole. Zadziwiała mnie szczególna ich obojętność i niezważanie na mnie obcego, leżącego na ławie. Z najzimniejszą krwią porządkowały na sobie swe stroje, nie robiąc sobie żadnej ze mną subjekcyi. Począłem kaszlać i przewracać się z boku na bok. Czemuż nie byłem szczególnym jakim potworem, możebym tem zasłużył na ich uwagę i jakieś zapytanie wywołał; jak najspokojniej usiadły na ławie prawie na mych nogach, zajadając zsiadłe mleko i ciągle go dolewając, póki brzuchaty garnek zupełnie nie został wypróżniony. Ja dla nich byłem mniej niż drewnem, gdyż to przynajmniejby zrzuciły pod ławę, aby im nie zawadzało. Zacząłem od jakichś zapytań, lecz te zostały bez żadnych odpowiedzi. W późniejszym dopiero czasie zrozumiałem ten dziwny ich sposób postępowania z gośćmi. Stannice przy trakcie leżące, gdzie tyle przejeżdża i pzzechodzi wojskowych, nie byłyby w stanie wszystkich przyjąć i nakarmić; a wdawać się z każdym w rozmowę, byłoby to samo, co gdzieś na jarmarku wszystkim się kłaniać. Mało ich to zajmuje kogo mają na kwaterze: sztabsoficera, czy prostego żołnierza; bo jak jednych tak drugich od niepamiętnych czasów tysiące i krocie koło nich popłynęło. Z tąd i moja hoża gosposia, jak nie cieszyła się z przybycia mego do jej domku, tak też nie okazała najmniejszego żalu, gdym zwinąwszy moje bagaże, żegnał ją dziękując za kwaterowanie.

Od Siergiejewki do Alexandrowa droga szła okolicą górną, choć płaską. Tu już wiatr chłodniejszy przeciągał, tu i zieloność była żywszą; ztąd też jakkolwiek długą była stacya, lecz bez wielkiego utrudzenia wcześnie stanęliśmy w Alexandrowie. Widok jego przyjemny, już na wstępie zdawał się nam obiecywać weselszy tu pobyt, niż w stannicy poprzedniej. Alexandrów niegdyś miasto powiatowe, dziś tylko stannica, ale dość obszerna i fossą okolona. Uliczki krzyżują się w różnych kierunkach to po równi, to po wzgórzach, rozchodząc się od placu środkowego z cerkwią w pośrodku, obstawionego mieszkaniem stannicznego i innych oficerów. Mieszkańcy choć kozacy, lecz gospodarstwo ich w dobrym znajduje się stanie. Obok domków z pięknym cieniem ogródki, w cieniu zaś wiśniowych i jabłonkowych drzew, po kilka ulów pszczół świadczyły o jakimś przemyśle mieszkańców. Uważałem, że kaukazkie pszczoły są bardzo łagodne i małe jak muszki; bezpiecznie śród ulów przechadza się obcy człowiek, żadna ani się zamierzy nań ze swem żądełkiem, gdy tymczasem mieszkańcy gór są złośliwi i mściwi, nakształt szerszeni. Za to mieszkańcy Alexandrowa łagodni i uprzejmi, lubili ze mną gawędzić i o wszystko się dopytywać aż do znudzenia. Siedziałem w cieniu pasieki z książką w ręku; otoczyły mnie dzieci gospodarskie, ciekawe widzieć rysunki w mojej książce znajdujące się. Gospodarstwo zdala się przysłuchując jak dzieciom je tłumaczyłem, bardzo byli uszczęśliwieni tą moją popularnością. Nie brakło mi też niczego u nich; a wypocząwszy dobrze na tej dniówce mogłem już nazajutrz śmiało rozpocząć dalszą drogę.

Z wesołym umysłem opuściliśmy Alexandrów, zdążając ciągle ku południowi. Ranek był piękny, powietrze przeźroczyste. Na prawo podniosły się wierzchołki gór Piatyhorskich, których pięć można naliczyć oddzielnie stojących. Najwyższa z nich Besztan, czyli pięciogórze, wynosząca za obłoki kamienne w trójkąt ścięte czoło, tylko w czasie pogody występuje z obłoków. Z początku wydały się nam niedużemi w głębi stepu kopcami, o kilka tylko wiorst granatowo na błękicie nieba odbijającemi; niektóre niby mchem pokryte, inne nagie z rozpadlinami i chropowate. Tak czystość powietrza zbliżała je ku nam. A przecież były one o jakie 10 mil od nas oddalone, i na olbrzymich barkach ogromy skał i urwisk dźwigały, lub szumiały lasami, które zdala mchem się tylko wydawały.

Stannica Sablin, w której zanocowaliśmy, na pierwsze zaraz wejrzenie uderza podróżnego swym charakterem i miejscowością czystą kaukazką. Leży ona w parowie ponad małą rzeczką. Domki pozawieszane na pochyłości wzgórz, ukryte w gęstwinie sadów rozrastających się po górze aż ku jej wierzchołkom; po pochyłości tej góry spada z miłym szmerem tysiące strumyków, srebrząc się w

gąszczy sadu, omijając ściany domków niżej stojących. Każdy gospodarz ma swój strumyczek, lub kilka, które drobnemi kaskadami po jego ogródku i podwórzu chłodną i przyjemną toczą wodę. Podobna miejscowość w jakiżby raj ziemski dała się przemienić! Ileżby fontan i kaskad wytrysnęło śród czarownego ogrodu; ileżby przepysznych zakrętów, ile malowniczych załamań krajobrazu otworzyła artystyczna ręka śród tego rozdołu, napół teraz dzikiego, ciągnącego się wzdłuż rzeczki, co błyszczy czystym błękitem, lub pieni się po głazach i pniach obalonych.

W okolicy pełnej sił organicznych i bujnej roślinności, pod cieniem jabłoni, wiśni, orzecha i morwy, zdaje się, że również i umysłowość bystrzej się rozwija. Mieszkańcy Sablina wesołego charakteru, rozmowni i przynajmniej za pieniądze usłużni. Miły tu mieliśmy wypoczynek śród tych górzystych ogrodów przy szmerze i szumie drobnych kaskad. Dobry nabiał stanowił nasze pożywienie. Zdało się mi żem trafił do rozkosznej ojczyzny Teokryta i bawię śród ludu łagodnego szczęśliwej Arkadyi; tylko gwintówki, pistolety, szaszki, kindżały i burki porozwieszane po ścianach, konie rżące pod siodłami, przypominały, że to Kaukaz, nie Arkadia.

Pozostawało nam dwa przechody do Giergiejowska. Wyszedłszy na czyste pole ujrzeliśmy białe szczyty kaukazkiego łańcucha; długim rzędem ciągnęły na południowo zachodnim horyzoncie, i w ciągu dnia całego tak się mieszały z obłokami i chmurami, że najwprawniejsze oko nie było w stanie zrobić między niemi różnicy. Tak nieraz przysiągłbyś, że to prawdziwe góry, a tymczasem te wierzchołki białe zaczynają płynąć po niebie, rozdzielają się, to znów się kupią. A gdyśmy najpewniejsi byli, że to są obłoki, tak zdawały się lekkie i przejrzyste, to te obłoki jakby skamieniałe stoją niewzruszone, martwe, bo to były góry rzeczywiste, pokryte śniegiem i odwiecznemi lodami.

Nazajutrz w głębi stepowej równiny ukazały się nam kopuły cerkwi i dymiące kominy Georgiejewska. Niedługo też wstąpiła nasza kompania do miasta. Domki drewniane i wybielone, okna wesołe z firankami, ustrojone wazonikami, ulice szerokie i wyprostowane, zresztą mało życia, ludność rzadka i brak zupełny ruchu zwyczajnego naszym miastom: oto co naprzód uderza oko podróżnego. Sam środek miasta stanowi forteca obwiedziona dokoła zieleniejącym się okopem, z wystającemi basztami, z kształtnemi, choć niezbyt warownemi bramami i zwodzonemi mostkami. Wewnątrz fortecy wznosi się kształtny sobor św. Mikołaja, domy rządowe i murowany rząd sklepów. Na północ od twierdzy leżą domy prywatne; od zachodu zaś przedmieście zwane Słobódką Tyfliską, zupełną postać wioseczki mające. Od wschodu bieleją gmachy szpitalu wojskowego. Na południe spada urwisty brzeg Podkumka i formuje dość wysoką górę. Na wzgórzach poza rzeką szumią gęste lasy, rzadko tu spotykane. Cała miejscowość Georgejewska dość piękna, urozmaicona dołami i zaroślami, lecz zarazem bardzo niezdrowa z powodu stojących bagien, nigdy w śród zarośli niewysychających. Febry, gorączki i szkorbut zwyczajnemi tu są gośćmi, i dlatego ludność Georgiewska, mimo jego obszerności, nie przechodzi 17[illegible]0 głów, Rossyan i Ormian. Niegdyś Georgiewsk był miastem gubernialnem, dziś pozostał nadetatowem i coraz bardziej upada. Zresztą pod względem handlu Georgiewsk na Kaukazie najważniejszym może jest punktem; tu się bowiem koncentruje cała wymiana płodów rossyjskich na kaukazkie, jako w miejscu najdogodniejszem i najbliższem wszystkich punktów kaukazkiej linii. Stauropol leżąc nieco dalej, na samym jej krańcu północnym, już nie przedstawia tej dogodności. Zarówno z za Kubani i Czarnomorza, z Kabardy jak i z Czeczeni, dążą do Geogiewska górale ze swemi burkami, siodłami i skórami wyprawionemi, pędzą piękne bydło i konie, i zpieniężają je tu w dni jarmarkowe. Zarówno z fortec zakubańskich i za-terekskich przybywają markietani i wojskowi zakupnicy dla skupowania produktów przywożonych z Rossyi i wyrobów fabryk wewnętrznych Cesarstwa. Tutaj na całe półrocze zaopatruje się Kaukaz w cukier, herbatę, kawę, wino, korzenie, sery, wędliny, makarony i porter. Ztąd pędzą markietani bydło na pożycie wojskowe. Gdyby nie dwa półroczne jarmarki tutejsze: wiosenny czyli Nikolski, jesienny czyli pokrowski, wojska kaukazkiej linii, mimo bogactwa natury i płodów południowych, prawie pierwszych potrzeb życia byłyby pozbawionemi. Tak się też zdarzało; niech jeno stauropolscy i głębszej Rossyi kupcy nie dowiozą swych transportów z jakiejkolwiek przyczyny, wnet się podnosi po całej linii cena cukru, mięsa, chleba i t. d. Zdarzało się, że cukier, którego ceny tam równają się prawie naszym, dochodził do półrubla za funt lub drożej. W tymże stosunku inne towary drożały. Słowem, Georgiewsk jest węzłem wszystkich arteryj handlowych linii.

(C. d. n.)

Najnowsze dzieła.

DIABEŁ.

Powieść z czasów Stanisława Augusta, przez Kraszewskiego. 4 tomy we 2. wydanie poprawne.

(Ciąg dalszy.)

Jako epizod wchodzi tu przeszłość rodziny Ordyńskich, skreślona z talentem, bo wzbudzająca zajęcie, chociaż treść sama dosyć zwyczajna. Dziad podczaszyca traci majątek zupełnie po polsku, bo w skutek gościnnego życia. Za pomocą sukcessyi po krewnym, i własnej usilności odzyskuje go starościna Ordyńska, której syn, ojciec Michała, żeni się z miłości z księżniczką ubogą, ale na wielkim świecie wychowaną. Starościna jako kobieta rozsądna, nie wypuszcza majątku zupełnie z ręki, aby go synowa lubiąca ży-

cie wystawne i wędrowne nie straciła. Podczaszyc zatem będzie bardzo bogaty.

Po wyjeździe króla podczaszyna do reszty znudzona czczym już dla niej pobytem w kraju którego nigdy nie lubiła, postanawia jechać za granicę, a syna odesłać do Warszawy z Labem, aby korzystał z przyrzeczonej mu opieki królewskiej. Tu się wysnuwa nowy zawiązek powieści. Anna Sinińska, wychowana razem prawie z podczaszycem, pełna wdzięków dziewica, przywiązuje się do niego miłością silną ale czystą, miłością zdolną wszelkich poświęceń, chociaż bez nadziei żadnej, bo chociaż bardzo młoda jeszcze rozumie ona, że nigdy żoną podczaszyca być nie może, a innej miłości krom prawej i religią uświęconej szlachetna dziewica nie rozumie. Podczaszyc ma także rodzaj miłości do Anny, ale słabe, jak jego charakter. Kochałby ją więcej i namiętniej, gdyby ona nie była tak surową, ale także rozumie, że ją poślubić wie może, i jest zresztą za nadto młody, by się nad tem zastanawiał. Jakkolwiek bądź są to dwa jeszcze szlachetniejsze uczucia, pamiątki czystego wieku dziecinnego, które się w nim czasem odzywają; przywiązanie do babki i do pięknej Anny. Scena pożegnania nadzwyczaj żywo i rzewnie opisana. — Nie zapomnisz o mnie — Nie zapomnę! ledwie powiedzieli sobie; Anna dała mu pierścionek srebrny na pamiątkę, on jej węża turkusowego. Babka pobłogosławiła wnuka, zalana łzami, bo czuła że już go nigdy w życiu nie zobaczy. A młodzieniec! jak dobrze autor powiada: »Leciał marząc z wyciągnionemi rękoma ku nieznanemu, a już tęsknota nazad go ciągnęła od progu.

Dobrze przeczuwała staruszka, bo ledwie oddalił się jej wnuk ukochany, zaczęła się przygotowywać do śmierci, i zrobiwszy wszelki porządek, popisawszy listy, usnęła spokojnie snem wiecznym, snem bez obudzenia. W Głuszy cicho i smutno było; stary Siniński z córką zostali sami w pustym dworze.

Pierwsza scena nowego życia w stolicy zaczyna się od hulackiego epizodu. Zgraja pijanych panów i szlachty ciągnie piechotą po błocie, a za nią wloką się ich karoce. Orszak pijany złożony z hulackiego towarzystwa xięcia podskarbiego Ponińskiego zdybuje jadącego powozem podczaszyca. Zatrzymują go, i gwałtem prawie choć nieznanego porywają z sobą. Podczaszyc po raz pierwszy w życiu wpada w towarzystwo takie, złożone z mężczyzn rozwiązłych, i rozwiązlejszych nadto kobiet z desek teatralnych. Jako nowicyusz wstydzi się własnego wstydu, i posadzony obok pięknej tancerki Frascatello, musi udawać zepsutego, chociaż nie jest nim jeszcze. Pije, bo drudzy piją, by się z niego nie śmieli. Zwykła to scena pierwszego zetknięcia się z zepsuciem światowem, która się zdarzała zawsze, zdarza i zdarzać będzie, równie w Paryżu jak i w Warszawie, i do której tło zarówno można było wziąć z czasów Stanisława Augusta, jak i z naszych, a scenę przenieść z pomieszkania xięcia podskarbiego do każdego innego salonu. Tancerka się nim zajmuje, bo się jej niewinność jego młodzieńcza tem więcej podoba, że i ona choć zepsuta z pozoru, i dzieli wszystkie zabawy towarzyszek swoich, zachowała się dotąd czystą, z niemałem zadziwieniem warszawskich paniczów. Poznaje tam także nasz bohatyr jenerała Baucher, w którym autor przedstawią typ pasibrzucha, pieczeniarza, dworaka, usłużnego wszystkim, byle za to dobrze zjadł, i dobrze się napił. Oczywiście skończyła się na tem hulanka, że podczaszyc upił się kapitalnie; namówiony przez jenerała grał w karty i nawet wygrał, a w końcu tak się zastosował do tonu towarzystwa, w które wpadł niespodzianie, że mu się to całe otoczenie, i to całe życie nie wydało tak brzydkiem jak z początku. W czasie rozmowy gdy zaczęto żartować z naiwności młodzieńczej podczaszyca, ten winem rozgrzany zaczął fanfaronować zepsuciem, jakie połapał z nauk Labego. I przyszło do tego że wyrzekł jako nie wierzy w Boga.

— I w diabła nie wierzysz? ktoś go zapytał...

— Nie wierzę i w diabła! odrzekł śmiało podczaszyc; w tejże samej chwili postrzegł w źwierciedle twarz owego szatana z obrazu Sgo Michała w pokoju babki zawieszonego. Wzdrygnął się i przestraszył młodzieniec, niewiedząc czy to była istotnie twarz którego z gości xięcia Podskarbiego, czy to było przywidzenie tylko.

Nazajutrz zmęczony przehulaną nocą, ledwie pożegnał matkę, która odjechała do Włoch, pożegnawszy syna zimnemi radami kobiety światowej, pełnemi nauk egoistycznych, co mu przywodzi na myśl inne tyle od tego różniące się pożegnanie babki, już prawie zapomniane, gdy zaczął rozpamiętywać noc minioną, odbiera rozmaite karty wizytowe, a pomiędzy innemi kartę złotemi literami wyciśniętą na tle pomarańczowem: *Cavaliere Fotofero,* Niewiedzieć dla czego, i prawdziwie niewiedzieć dla czego, ta karta i to nazwisko przywodzą mu na pamięć wczorajsze pojawienie się twarzy szatana.

Epizodycznie wchodzą tu niektóre inne postacie historyczne, nie powiązane ściśle z treścią powieści. Takim jest Orlandini, który straciwszy majątek na różnych przedsiębiorstwach stał się żebrakiem w dobrym tonie. Na wygodnem siedząc krześle w bramie krakowskiej, zbiera jałmużnę od bogatych panów, i żyje doskonale jak nigdy nie żył.

Poznaje znowu nasz bohatyr towarzystwo zbierające się u xiężnej wojewodzicowej Mścisławskiej, matki Kazimierza Nestora, młodego jenerała artyleryi, a w nich wiele znajomych z tego czasu osób historycznych, które przesuwają się za wolą autora lekko naszkicowane, albo tylko nazwane. Toż samo dzieje się na dworze samego króla. Przesuwają się figury historyczne jak w latarni czarnoksięzkiej przed oczami naszego bohatyra, który niezachodzi z niemi w żadne bliższe stosunki i które oczywiście w niczem się nie przykładają do zawiązania lub rozwiązania intrygi powie-

ściowej. Inaczej się dzieje z kawalerem Fotofero, który się pojawia razy kilka naszemu bohatyrowi, a nawet na sali zamkowej, z tą twarzą dobrze mu znaną szatana, a którego nikt nie zna, i nikt mu o nim nieumie coś stanowczego powiedzieć. Ten Fotofero tymczasem odgrywa w życiu podczaszego ciągle i zawsze rolę istotnego diabła, pociągającego go do złego. I do końca zostaje on figurą tajemniczą, nie rozwiązaną naumyślnie przez autora, który w życiu podczaszyca zda się chcieć przedstawić tę odwieczną walkę złego i dobrego ducha w życiu każdego człowieka. Dlaczego zaś zły duch pozostaje tajemnicą, gdy przeciwnie dobrego ducha wprowadza naturalnie w postaci Anny Sinińskiej, jest to samego autora tajemnicą, jego indywidualną fantazją. Aby tem więcej tajemniczem zrobić to zdybanie, kawaler Fotofero powiada z szyderczym uśmiechem, że zna podczaszyca a to jeszcze w Głuszy, co temu tem żywiej przypomiwa ów obraz szatana, do którego Fotofero podobny jak dwie krople wody. Ani też do końca dowiadujemy się czy znał go istotnie jako Fotofera, czyli też była to aluzja do tego obrazu budzącego strach w młodym podczaszycu.

Przesuwają się dalsze obrazki na pół historyczne. Podczaszyc odwiedza z jenerałem włoszkę Frascatello, która się zajmuje coraz więcej naszym bohatyrem. Zajęcie to wszakże niewyraźnemi zarysami odznaczone, nie wystaje jaśniej w dalszem bohatyra życiu i po prawdzie nie wpływa zupełnie na jego losy, bo jej towarzystwo ani go na złe ani na dobre prowadzi. Jest to epizodzik, ładnie tu i owdzie odcieniowany, ale jak wiele innych epizodów wsztukowany tylko w całość. U Włoszki zdybuje nowe lub znane już figury, rozmawia z niemi, o fraszkach i o rzeczach politycznych, co niby ma nadać charakter epoce służącej za tło obrazu całego.

Jadąc od Włoszki z jenerałem, wpadają przypadkiem w tłum biegnący za jakiemiś jasełkami, co daje autorowi sposobność przytoczenia owych historycznych jasełek, na których występują osoby historyczne, z epigramatami w ustach do siebie i do rzeczy publicznej zastosowanemi, które ówczesne pamiętniki przypisują Kajetanowi Węgierskiemu. Widok tych jasełek o tyle wpływa na bohatyra, że mu mary rozmaite w jasełkowym porządku sprowadziły we śnie, i że był drugi raz u króla, który go o nie pytał.

Podczaszyc robi coraz nowsze znajomości, bywa po wszystkich domach znakomitszych, stojących wówczas na czele towarzystwa wyższego. Ciągła latarnia czarnoksiężka, po której przeciągają czasem całe figury, czasem biusta tylko, czasem ledwie naznaczone szkice, czasem same tylko nazwiska mniej lub więcej historyczne, a czasem indywidualne zdania autora o tym zaiste nader ciekawym czasie. A że podczaszyc jest ładny, młody i nie bardzo jeszcze doświadczony, zalotność zaś owego czasu należała do obyczajów koniecznych, więc staje się celem umizgów ze strony wielu kobiet ładnych, których mnóstwo było w Warszawie. Pomiędzy zalotnicami rzucającemi na niego sidła swoje, występują i nazwiska historyczne, jak n. p. p. Luchesini, którym autor bez naruszenia sumienia mógł dodać jednego więcej kochanka własną wyobraźnią utworzonego. Od czasu do czasu pojawia się jak już mówiliśmy kawaler Fotofero, który zdaje się nieraz dlatego tylko przypominać, aby czytelnik nie zapomniał, że i on przyczynił się jako diabeł do zepsucia bohatyra, który jak się zdaje, zasmakowawszy w rozuzdanem towarzystwie Warszawskiem, byłby i bez niego się zepsuł. (C. d. n.)

Rozmaitość.

* **Z nad ujścia Wisłoki w Kwietniu.** Wybaczcie że w braku nowin miejscowych muszę się uciec po nowiny z Wanderera Wiedeńskiego wyjęte. I tak wyczytałem w. N. 135 z 23 marca b. r. artykuł z Tarnowa donoszący o szpitalu i zakładzie dla ubogich, który się kończy temi wyrazami:

„Przebudzenie tego zakładu, projektowana przybudowa do budynku, założenie urzędu zastawniczego z funduszów zakładu. na które oczekiwanem jest zezwolenie władzy najwyższej, są to dzieła j e d n e g o m ę ż a (eines einzigen Mannes) p: Dr. A. M............., który. swoją czynnością i poświęceniem się dla dobra ludzkości poniósł wielkie zasługi i któremu ludzkość wielki dług spłacić by powinna!"

Przeczytawszy ten ustęp, spojrzałem jeszcze raz na datę, bo odebrawszy gazety spóźnione myślałem że ktoś na Prima Aprilis napisał, ale przekonawszy się że Korespondencya 18 Marca w Tarnowie pisana, podaje ją śmiało, jako nowinę dla wszystkich co znają Pana Adama a Wanderera nie czytają, bo ci zapewne się zdziwią że do wielu praw i długów które on nabył i nabywa, przybył jeszcze dług ludzkości, w czem P. Adam jeszcze ma więcej zasługi, bo podobne długi pół darmo się nie nabywają i wyexekowanie ich nie tak jak innych łatwe do przeprowadzenia. —

Wszystko się z czasem zmienia na świecie. Dawniej Kalendarz był wyrocznią dla każdego na wsi mieszkającego, dzisiaj jemu wierzyć nie można; kupiwszy bowiem kalendarz krakowski wydania Czecha, liczyłem na niego jak na Zawiszę, bo proszę mi powiedzieć jakże tu jemu nie wierzyć, kiedy choć czasem minął się z prawdą bo zmiana księżyca nie zawsze według obietnicy *pogodą przysłużyć się starała*, lub też *do deszczu skłonną była*, ale za to obiecał *wiatry tu i owdzie* co przecież gdzieś spełnić się mogło.

Dzień jednak 26 Marca musiał według jego horoskopu obiec ywać *Czas wątpliwy* bo ten dzień jako święto uroczyste oznaczył, a u nas święta nieobchodzono.

Należało by jednak unikać podobnych omyłek, bo kiedy w dzień Ś. Stanisława jako patrona Polski w Krakowie święto uroczyste, my mieszkańcy Galicyi i Lodomeryi mamy patrona Ś. Michała i ten dzień a nie Ś. Stanisława jest dla nas uroczystym; zdarzyć się może zatem łatwo, że kiedyś jaki Narodotwórca będzie dowodził że tworzymy inną od Krakowiaków narodowość, i swoje twierdzenie na różnicy kalendarzów opierać gotów.

Nasze sąsiedztwa poniosły dotkliwą stratę. Ludwik Wiktor właściciel ziemski mieszkał na zimę w Krakowie i tam przeniósł się do wieczności. Strata ta dotknęła ciężko nie tylko jego rodzinę, ale odbiła się echem żalu w sercach wszystkich którzy go znali. Cichem i spokojnem było jego życie, nieszukał on żadnych dostojeństw ani zaszczytów bo pełnienie obowiązków męża, ojca, brata, sąsiada i dobrego Polaka wystarczało dla Jego serca; kto tak jak on w dzisiejszych czasach sobkowstwa i powszechnego zepsucia przeżył 50 lat bez ska-

zy i ani jednego nieprzyjaciela niepozostawił, czyj zgon taką między znajomemi obudził żałobę, ten nie tylko wart wspomnienia, ale i naśladowania.

Cześć zatem Jego popiołom!!!. —

* We wtorek d. 24. b. m, przybył do nas J. Cesarzewiczewska Mość Arcyksiążę **Karol Ferdynand**, feldmarszałek-porucznik w najpożądańszem zdrowiu w przejeździe swoim do Tarnopola i stanął w hôtelu Georga.

* Wczoraj był rozkaz główno - komenderujacego armią IV. Jen. kaw. hr. Schlick, aby wystąpiła cała załoga za rogatkami Janowskiemi, tymczasem nieprzyjazna zmiana pogody przeszkodziła temu wspaniałemu wystąpieniu.

* Porówne niepogoda przeszkodziła obchodowi religijnemu który wczoraj miał się odbyć w dzień św. Marka z kościoła archikatedralnego do kościoła OO. Karmelitów.

* Niebawem, bo już w przyszłym tygodniu przybędzie do Lwowa na gościnną rolę pan Steger, pierwszy tenorzysta nadw. Teatru wiedeńskiego; pierwszy jego występ w operze Lucia di Lammermoor Donizettego, do której już teraz przez towarzystwo opery próby się odbywają.

* Mieliśmy doniesienie że w Zaleszczykach mieszkańcy otrzymali polecenie oczyszczania i ubielania swoich domów, co daje nadzieję, jak idzie pogłoska, że **Najjaśniejszy Pan** sam ma zwiedzić okopy i twierdzę Zaleszczyki, a to już w krótkim bardzo czasie.

* Także mówią że na Dniestrze pod Zaleszczykami ma być budowany most łańcuchowy (Kettenbrücke.)

* Utrzymują że p. Beranek, dyrektor konnych jezdców, ma ze swojem towarzystwem zjechać do Lwowa.

* Właśnie wczoraj przybyli do nas panna Lanner i pan Frappart, baletnicy teatru opery nadwornej we Wiedniu i już w Sobotą występują w operze „Stradella" w której panna Schnaidtinger w roli Eleonory po drugi raz wystąpi. Pierwszym razem w operze „Marta" bardzo się podobała.

Przyjechali od dnia 24. do 26. Kwietnia. do Lwowa.

PP. Głogowski Artur. z Bojańca. Komorowski Henryk, hr. z Pawłowa. Gnoiński Aleksander, z Krasnego. Gostyński Adam, z Magierowa. Baworowski Włodzimierz, hr. z Strussówa. Turczyński Jan, ze Żółkwi. Vivien Wincenty, z Wysocka. Domaradzki Seweryn, ze Stanimierza.

PP. Sabatowski Fryderyk, z Drohobycza. Thullie Jan, z Rzepniowa. Olszański Dionizy, z Tarnopola. Komarnicki Bolesław, z Jackowic. Wojczyński Alfred, z Tuligłów. Rulikowski Kajetan, z Switarzowa. Smarzewski Nikoeem, z Artassowa. Komarnicki Antoni, z Doliny. Gumowski Hieronim, z Borek. Perelli Wilhelm, z Arłamowskiej woli. Golejowski Kornel hr. z Krzywczy. Babecki Kajetan, z Byszowa Rubczyński Władysław, ze Stanina. Jakubowicz Józef, z Sanoka.

Wyjechali od dnia 24. do 26. Kwietnia ze Lwowa:

PP, Borowski Ludwik do Krowicy hołodowskiej. Papara Antoni do Batiatycz, Ciepielowski Dionizy do Sambora.

PP. Sidorowicz Jan do Stryja. Szymanowski Franciszek do Krakowa. Wiktor Tadeusz do Makowisk, Karnicki Franciszek hr. do Podhajec. Romański Jędrzej do Tarnopola.

Lwów, 25. Kwietnia. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 36 złr. 15 kr. do 40 złr. — kr. — Żyta po 26 złr. — kr. do 30 złr. — kr. Jęczmienia po 23 złr. 45 kr. do 25 złr. — kr. Owsa po 16 złr. — kr. do 16 złr. 45 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 22 złr. 30 kr. — Ziemniaków po 12 złr. 30 do 13 złr. 15 kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 47 złr. 30 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 42 złr. w.w. Cetnar siana 3 złr. 35 kr. do 5 złr. 38 kr. Centnar słomy 2 złr. 45 kr. do 3 złr. 45 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 17 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 25. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$126\frac{1}{2}$	Pożyczka 5% $80\frac{1}{8}$ $4\frac{1}{2}$	—
Hamburg za 100 tal. banco	$92\frac{3}{4}$	Akcye banku	—
Londyn za 1 funt szterl.,	12 25	Kolej północna	$1922\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	$125\frac{1}{2}$	Obl. ind. . , ...	—
Paryż za 300 franków .	$148\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loteryą	$109\frac{3}{4}$
Agio duk. ces. . . .	—	Pożyczka narodowa . .	$84\frac{3}{8}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	47	złr.	5	kr.	50
Dukat cesarski	«	5	»	52	»	5	«	54
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	3	»	10	«	6
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	57	«	1	»	59
Talar pruski	»	1	«	53	»	1	«	54
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	24	»	1	«	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	92	«	—	»	92	«	50
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		73	»	—	»	73	»	30
5 proc. pożyczka narodowa		85	»	—	»	86	«	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni **E. Winiarza.**